

WYPĘDZONY POLAK DO WYPĘDZONYCH NIEMCÓW

Głośno o tym w Polsce, że wypędzeni Niemcy szykują się do zorganizowania w Berlinie muzeum martyrologii Niemców wysiedlonych z czeskich Sudetów, z Prus i z Polski. Okazuje się, że wciąż są Niemcy, którzy sądzą, iż to im bardziej wypada rachować krzywdy doznane w ostatniej wojnie. Pokazywać palcem, co ze strony Polaków nie było w porządku w stosunku do nich. Słyszycie się coraz częściej skargi Niemców na masowo organizowane dla nich w Polsce, tuż po kapitulacji III Rzeszy, „obozy”. W tym kontekście termin „obozy” kojarzy się jak najgorzej – z obozami koncentracyjnymi, miejscami kaźni, wyniszczaniem więźniów, z obozami pracy i obozami jeńców wojennych.



Mijają lata. Coraz mniej jest naocznych świadków tamtych wydarzeń, więc coraz łatwiej o przeinaczenia, zniekształcenia i przemilczenia różnych faktów, a także o tworzenie stereotypów i mitów. Dziś nawet w Polsce już niewielu ludzi pamięta, co oznaczają takie skróty jak PUR czyli Polski Urząd Repatriacyjny, UL czyli Urząd Likwidacyjny, albo takie określenia jak punkty etapowe; czemu te instytucje służyły i jaki miały związek z przeniesieniem wypędzonych Polaków i Niemców. Bo nie jest prawdą, że wypędzeni z byłych Kresów Wschodnich Polacy szli wprost z pociągu do stojących otworem poniemieckich mieszkań, i że Niemców masowo wyrzucano z ich domów do obozu przejściowego. Nie było w tym względzie żadnego chaosu, jak się to dziś usiłuje przedstawiać. Wszystko odbywało się zgodnie z określonym porządkiem pod opieką PUR. Organizował on we wszystkich polskich miastach – zwłaszcza na tzw. Ziemiach Odzyskanych – w budynkach szkolnych czy innych, mających duże sale, tzw. punkty etapowe, czyli mówiąc inaczej, obozy przejściowe dla wypędzonych ze Wschodu Polaków. Wszyscy wypędzeni repatrianci musieli przejść przez ten obóz i tak długo w nim przebywać, dopóki wyznaczeni do wyjazdu z Polski Niemcy nie opuszczą swoich mieszkań, nie wyjadą do Niemiec. Dopiero wtedy pracownik PUR prowadził wypędzonych zza Buga Polaków do opuszczonych domów. Otwierał kluczem drzwi, pokazywał kolejno zwolnione przez Niemców mieszkania i kto chciał, otrzymywał z PUR przydział na określone mieszkanie, pismo i klucz. Był to więc długotrwały proces, trwający kilka lat. Jeden z ostatnich kolejowych transportów z wysiedlonymi Niemcami z Wałbrzycha spotkałem na stacji w Jaworzynie Śląskiej we wrześniu 1948 r.

Nie są więc prawdziwe szerzone przez Niemców pogłoski, jakoby Polacy najpierw masowo wyrzucali ich z domu i umieszczali w „obozach” (a ktoś byłby w stanie w tych dniach głodu taką wielką rzeszę Niemców karmić?). Było wprost przeciwnie. Niemcy czekali na wyjazd w swoich

własnych domach, natomiast wszyscy wypędzeni ze Wschodu Polacy musieli odczekać jakiś czas – niczym kwarantannę – w punktach etapowych, w obozach przejściowych PUR.

To nie znaczy, że nie było obozów przejściowych dla wysiedlanych Niemców. Należy pamiętać, że kształtowało się to wszystko w pierwszych dniach po kapitulacji hitlerowskich Niemiec, tj. w okresie zawiązywania się zrębów państwowości polskiej na Ziemiach Odzyskanych. Potrzebne były pomieszczenia dla urzędów oraz dla pracowników administracji polskiej i ich rodzin, dla milicjantów, kolejarzy, listonoszy. A w tych pierwszych dniach po wojnie nie było innych wzorców działania w tym względzie prócz przykładów postępowania hitlerowców z Polakami w okupowanej Polsce, a więc – wyrzucania ich z domów, zamykania w obozach koncentracyjnych i wypuszczania przez komin. Czy mieliśmy do końca wiernie naśladować Niemców? Zdarzało się, że z rozkazu komunistycznych władz polskich żołnierze i milicjanci usuwali kilka lub kilkanaście niemieckich rodzin z ich mieszkań w jakimś mieście, by wprowadzić tam rodzinę polskiego kolejarza, listonosza, pracownika PUR. A usuniętych z domów Niemców – do czasu wystania ich pierwszym transportem do Niemiec – umieszczano w obozach przejściowych. Nie były to obozy liczebne, przebywało w nich od kilku do kilkunastu niemieckich rodzin. Stanowiło to zaledwie promil ogólnej wielkiej rzeszy wypędzonych z Polski Niemców. Obozy mieściły się – podobnie jak organizowane przez PUR punkty etapowe dla Polaków – w szkołach lub w innych dużych budynkach. Znam to wszystko, bo też zostałem wypędzony ze Wschodu i w 1945 r. mieszkałem o kilka kroków od obozu przejściowego dla Niemców.

Wypędzenie

W czerwcu 1945 r. miałem siedemnaście lat, gdy razem z rodzicami zostałem wypędzony z polskich Kresów Wschodnich, z Czortkowa. Wraz z wieloma innymi polskimi rodzinami jechaliśmy kolejowym transportem złożonym z tzw. lor – odkrytych wagonów towarowych (kryte, zamykane wagony towarowe były potrzebne Sowiecom do przewożenia niemieckich jeńców w głąb ZSRS). Była to długa i męcząca podróż trwająca ponad dwa tygodnie. Często spychano nasz transport na boczne tory, na stacje towarowe. Dłużej tam czekaliśmy, niż byliśmy w ruchu. Dotarliśmy w końcu do miejscowości, która – jak przeczytaliśmy na ścianie dworca kolejowego – miała niemiecką nazwę Neisse (Nysa). Do naszego transportu podszedł rezydujący w Nysie naczelnik PUR i oznajmił, że jest to nasza stacja docelowa, że tu mamy wysiadać. Byliśmy wszyscy głęboko poruszeni, wręcz zaszokowani. Nie tak wyobrażaliśmy sobie nasz przyjazd do Polski. A tu, na stacji kolejowej wszędzie niemieckie napisy i pełno kręcących się Niemców w kolejowych niemieckich mundurach. Byliśmy przemęczeni, wygłodzeni, niewyspani. Nasze ubrania cuchnęły dymem, bo podczas jazdy opadała na nasze odkryte wagony długa, czarna wstęga duszącego dymu z komina lokomotywy. Nasze twarze i ręce były brudne od sadzy.

Rozważaliśmy to, co naczelnik PUR nam powiedział. Tuż obok, na sąsiednim wagonie, zebrały się kobiety i śpiewały pobożnie „godzinki”. Gdzieś dalej słychać było z wagonu żałosne beczenie głodnej kozy, płacz niemowlęcia. Żaden Niemiec, mieszkaniec Neisse, nie podszedł do nas, nie podał nam po chrześcijańsku szklanki wody. Może dlatego, że nikt z mieszkających tu Niemców nie przeczuwał nawet jeszcze, że już niedługo taki sam los spotka również ich, i że w pięćdziesiąt lat później będą szykować w Berlinie muzeum martyrologii wypędzonych z Polski Niemców.

Wszyscy mężczyźni z naszego transportu zgromadzili się i naradzali, co robić. A ja z kilkoma kolegami z transportu byłem ciekaw zobaczyć, jakie to miasto i kto w nim mieszka. Szliśmy długą ulicą. W centrum miasta nie znaleźliśmy ani jednego całego domu. Wszystkie kamienice były doszczętnie zbombardowane. Tylko w willowej dzielnicy Nysy stały w ogro-

dach pięknie pobudowane domy. Czasami przez podwórkę przemykała się cicho sylwetka jakiegoś Niemca. W jakimś rozbitym urzędzie, wśród sterty porozrzucanych papierów stała nieuszkodzona maszyna do pisania. Ucieszyłem się tym „bezpańskim” znaleziskiem, bo byłem absolwentem szkoły handlowej, w której nauczono mnie sztuki pisania na maszynie. Maszyna była duża i ciężka, więc spocony z wysiłku przyniosłem ją na stację, do naszego transportu. Zdenerwowało to mojego śp. ojca, który natychmiast kazał mi zanieść maszynę z powrotem tam, skąd ją wziąłem. Rad nierad musiałem ją odnieść. Gdy wróciłem na stację, zauważyłem, że znów naczelnik PUR rozmawia z mężczyznami z naszego transportu. Tłumaaczył, że przyjechaliśmy do Nysy pierwsi, że zostaniemy przewiezieni razem z naszymi bagażami do ocalałego od bomb budynku szkolnego, zamienionego obecnie na punkt etapowy PUR (obóz przejściowy dla wypędzonych Polaków zza Buga), i że on pokaże nam potem wolne mieszkania, kompletnie wyposażone, porzucone przez Niemców uciekających przed frontem w głąb Rzeszy. Kto będzie chciał, otrzyma urzędowy nakaz na mieszkanie i klucz, i będzie mógł wprowadzić się do mieszkania. A jeśli zabraknie wolnych mieszkań, poczekamy w punkcie etapowym do czasu, kiedy z innych domów wyprowadzą się Niemcy.

Chcieliśmy w Polsce

Po odbytej naradzie część repatriantów zdecydowała się zostać w Nysie. Inni (w tym ja i moi rodzice) nie dali przekonać się do tej „lukratywnej” propozycji i zażądali, żeby nas zawieźć na tereny mieszczące się w granicach Polski w 1939 r. I tak się stało. Ruszyliśmy w dalszą podróż. Moi rodzice wraz ze mną i kilka innych rodzin zdecydowaliśmy się wysiąść w Sępólnie Krajeńskim, w miasteczku położonym przy zachodniej granicy Polski z 1939 r. Jak to bywa w takich przygranicznych miejscowościach, mieszkali tu obok siebie Polacy i Niemcy. Przywieziono nas do punktu etapowego PUR albo, jak kto woli, do obozu przejściowego dla wypędzonych ze Wschodu Polaków, który znajdował się koło apteki. Tu w wielkiej sali mieliśmy mieszkać i czekać do czasu, kiedy urząd znajdzie dla nas miejsce w domu przy jakiejś polskiej rodzinie.

A tak się złożyło, że na środku rynku w Sępólnie, o kilka kroków od punktu etapowego PUR, w którym mieszkaliśmy – stał kościół ewangelicki. Polskie komunistyczne władze w bezwstydnym sposób sprofanowały tę protestancką świątynię. Spędzono do niej kilka czy kilkanaście niemieckich rodzin, postawiono przed portalem kościoła żołnierza z karabinem i uczyniono z tego świętego miejsca obóz przejściowy dla tutejszych Niemców.

Dla nas, repatriantów zza Buga, był to prawdziwy szok. Policzek. Dobrze pamiętaliśmy rok 1939, kiedy to sowieckie władze w naszym rodzinnym mieście, w Czortkowie, wypędziły zakonnicę ze stojącego za miastem klasztoru i uczyniły z klasztornej świątyni dla koni kozackiej konnicy, stacjonującej w klasztorze. Przechodząc obok tego ewangelickiego kościoła, czuliśmy się tak, jakby ktoś oblał nas kubłem pomyj. Zrozumieliśmy, że nie uciekliśmy daleko od bolszewickiej ośmiornicy, która nawet tu, w Polsce, zaciska wokół nas swoje brudne łapy. Nie mogliśmy przejść obok portalu sprofanowanego kościoła bez opuszczenia ze wstydu głowy. Czuliśmy gniew na tych polskich bolszewików, półanalfabetów, którzy poharńbili dobre imię Polski.

Był to idiotyczny pomysł, żeby więzić kilka czy kilkanaście niemieckich rodzin – starców, kobiet i dzieci. Nie byli to przecież kryminaliści, polityczni przestępcy czy członkowie jakiegoś podziemnego niemieckiego ruchu oporu. Cała „wina” więzionych ludzi polegała na tym, że byli właścicielami domów, które zarekwirowały im polskie władze dla kilku przywiezionych tu wojskowych i partyjnych rodzin. Po stokroć lepiej by się stało, gdyby tych wywłaszczonych Niemców wyrzucono razem z dziećmi na przystawiony bruk. Wtedy sami znaleźliby pomoc u miejscowych rodaków. Przygamęliby ich solidarnie pod swój dach. Byłoby to z korzyścią i dla Niemców, i dla polskich

komunistycznych władz. Nie musiałyby władze „troszczyć się” o dach nad głową dla nich ani o ich wyżywienie w czasie, gdy głodowała cała Polska. No i po co było stawiać przy wejściu do kościoła żołnierza z karabinem? Cóż złego by się stało, gdyby więzieni Niemcy z kościoła uciekli? Pomysł organizowania dla niemieckich rodzin obozów przejściowych był jakąś bzdurną paranoją. Była to karykaturalna namiastka hitlerowskich obozów zakładanych w okupowanej Polsce.

W ciągu kilku tygodni obserwacji tego kościoła zauważyłem, że tak, jak to jest przyjęte we wszystkich obozach przejściowych, nie było tu obozowego rygoru – porannych apeli, „przesłuchań”, bicia. Nie było słychać jęków ani obelżywych słów.

Po upływie trzech tygodni otrzymaliśmy skierowania na mieszkania. Mnie i moich rodziców przygarnęła polska rodzina w Sępólnie przy ul. Kościelnej. W jakiś czas później więzieni w kościele ludzie pierwszym kolejowym transportem zostali wywiezieni do Niemiec.

Nie zabawiliśmy jednak długo w Sępólnie. Po upływie roku mój ojciec, który pracował w Urzędzie Likwidacyjnym w Sępólnie, został uznany za „czarną reakcję” i „wroga klasowego” – zwolniono go z pracy. Spakowaliśmy więc nasze manatki i w sierpniu 1946 r. pojechaliśmy na Dolny Śląsk, do Świdnicy. Tu było kilka fabryk i łatwiej było o pracę. Znów na początek zostaliśmy umieszczeni w punkcie etapowym PUR, który w Świdnicy mieścił się przy pl. Lenina (później w tym miejscu umieszczono przychodnię rejonową). Ojciec chodził szukać pracy, a ja szukałem odpowiedniego dla nas mieszkania. Nie natknąłem się tu nigdzie na obóz przejściowy dla niemieckich rodzin. Być może w ogóle go w Świdnicy nie było albo został zlikwidowany, bo upłynął już rok od zakończenia wojny. Było więc nadto dużo czasu, żeby Niemców z takiego obozu wywieźć do ich kraju.

Ponemieckie złote runo

Jest wiele rozmaitych mitów i stereotypów związanych z ponemieckimi mieszkaniami, które repatrianci zza Buga otrzymywali. To prawda, że nie mogliśmy do wagonu wziąć więcej ponad to, co mogliśmy udźwignąć w obu rękach. Patrzyli więc na nas Niemcy jak na dziką ordę Tatarów, jak na chciwych rabunku Polaków, którzy na wieść o końcu wojny ruszyli wielką ławą ze swoich nor na Wschodzie, aby wygnać Niemców z ich wspaniałych, pełnych cywilizacyjnych wygód domów i zamieszkać w tych bogatych pałacach. Ale prawda była bardziej złożona i różnie z tymi „pałacami” bywało. Przekonałem się o tym w sierpniu 1946 r. w Świdnicy podczas oprowadzania mnie po zwolnionych przez Niemców mieszkaniach.

Jak powszechnie wiadomo, większość miast na ziemiach polskich Piastów – śląskich i pomorskich (w tym również w księstwie Bolka, księcia świdnicko-jaworskiego) powstała w średniowieczu. Co roku któreś z tych miast obchodziło w ostatnich latach swoje 700-lecie. Na ogół miasto stanowiło gęsto zabudowane średniowieczne centrum, złożone z dwupiętrowych średniowiecznych mieszczańskich domów. Były w nich ciasne i niskie mieszkania z małymi okienkami. Poza obrębem pierścienia byłych średniowiecznych murów obronnych znajdowały się dzielnice ozdobnych secesyjnych kamienic czynszowych z początku XX wieku. Jeszcze dalej rozciągała się zwykle dzielnica willowa, złożona z parterowych pięknych domów z pełnymi kwiatów ogródkami. Rzecz w tym, że te piękne willowe dzielnice już w pierwszych dniach po kapitulacji III Rzeszy zarekwirowali dla siebie Sowieci. Ogradzali je wysokimi parkanami z desek, zza których nic nie było widać. Budowali bramę wejściową, malowali na czerwono rogatkę i stawiali przy niej sołdata z pepeszą w ręce. W miastach, w których nie było sowieckiego garnizonu, polskie komunistyczne władze umieszczały w dzielnicy willowej swoich wysoko postawionych partyjnych dygnitarzy. A Niemców z tych domów kierowano do obozów przejściowych. Wypędzonych z byłych Kresów Wschodnich Polaków kiero-

wano do średniowiecznego centrum miasta, a przy większym szczęściu – do splądrowanych już wcześniej przez Sowietów kamienic czynszowych z początku XX w.

W sierpniu 1946 r. razem z oprowadzającym mnie po tych mieszkaniach pracownikiem PUR obszedłem niemal całą świdnicką starówkę, kilkadziesiąt mieszkań, m.in. przy ul. Długiej, Pułaskiego i Teatralnej, żeby wybrać dla siebie mieszkanie. Z każdego z tych średniowiecznych obiektów wyskakiwałem na ulicę jak z procy, łapiąc spazmatycznie powietrze jak stary astmatyk.

Nasze miasta za Bugiem na ogół były parterowe. Przez siedemnaście lat mieszkalem w parterowym domku z drewnianym gankiem, z ogródkiem, z rosnącymi wiśniami, z gołębiami na dachu. W mieszkaniu z wybielonych ścian wiał świeży, zdrowy zapach wapna. Niejedna polna kaplica mogłaby pozazdrościć tego czystego, krynicznego chłodu powietrza i jasnej, świętej ciszy panujących w takim domku. Nie mieliśmy podłączenia do pobliskiej sieci elektrycznej, a po wodę musiałem chodzić z wiadrami ponad 100 m do cembrowanej, głębokiej studni z kołowrotem. Był to więc – jakbyśmy to dziś powiedzieli – dom ekologiczny, zdrowy i powodujący dobre samopoczucie.

A tu w każdej z tych średniowiecznych dwupiętrowych kamieniczek wchodziło się do ciasnych, niskich, małych jak pudełka, ciemnych izb z maluškimi okienkami. Ze zbudowanych z kamienia siedemset lat temu ścian emanował skumulowany przez wieki, przyklepiony do ścian zapach smażonych na blacie kuchennym zjeżdżających tłuszczów, mięs, cebuli, oparów starych mydlin po praniu w domu bielizny, wyziewów ludzkich ciał, fetor spróchniałego i przetrawionego przez korniki drewna starych okiennic, drzwi, mebli i podłóg. Owszem, był prąd i bieżąca woda. Ale tylko jedna na klatce schodowej ubikacja dla wszystkich mieszkających na danym piętrze rodzin, tj. ciasne, niskie, bez wentylacji pomieszczenie, nieprzypominające WC. Z dołu, z otworu w desce wiał smród ludzkich odchodów i piwniczny smród szczurów.

Jak większość Polaków, miałem inne wyobrażenie o Niemcach. Nigdy nie przypuszczałem, że „rasa panów” mieszkała w takich śmierdzących dziuplach. Wielu wypędzonych z Buga Polaków, chcąc nie chcąc, decydowała się z konieczności na wprowadzenie do tych mieszkań. Ja za żadne skarby nie chciałem w tych smrodach mieszkać. Wolałem dalej siedzieć na paczkach w ogólnej sali punktu etapowego.

Aż któregoś dnia naczelnik PUR zaprowadził mnie do kamienicy czynszowej w Świdnicy przy ulicy Kolejowej. Był to czteropiętrowy budynek z początku XX w., zbudowany tuż za byłym murem obronnym. Mieszkanie, które mi naczelnik pokazał, było już wcześniej splądrowane, okradzione (pewnie przez stacjonujących tu blisko Sowietów). Jedna z dwu szyb w oszklonych drzwiach wejściowych była wybita i zabita deskami. Wewnątrz mieszkania stała szafa i kredensy, ale były puste. Były meble, elektryczność, gaz i bieżąca woda. Ale ubikacja była na klatce schodowej przy wejściu i służyła wszystkim mieszkańcom tego piętra.

Prócz nas mieszkała w tej kamienicy jeszcze jedna polska rodzina. Resztę mieszkań zajmowali Niemcy. Nasze stosunki z Niemcami były poprawne, lecz chłodne. Uplłynął rok, zanim ostatnia niemiecka rodzina z naszej kamienicy wyjechała do Niemiec. W miarę jak wyjeżdżali Niemcy, ich mieszkania zajmowali Polacy oczekujący w punkcie etapowym PUR w Świdnicy.

Trudno odmówić narodowi niemieckiemu prawa do pamięci. Do pamiętania doznanych w wojnie krzywd. Nawet jeśli grabieże, gwałty i rozboje dokonywane na niemieckich cywilach zbilansować można w kilku promilach ogólnej sumy krzywd, jakich narody Europy doświadczyły z rąk hitlerowców. Niech więc wypędzeni Niemcy organizują w Berlinie to muzeum martyrologii, ale przede wszystkim niech pamiętają o swojej winie.

Opracowała Barbara Polak